

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

WIKTOR STEPHAN

SARNA

(Cervus capreolus).

(Praca nagrodzona na konkursie Warszawskiego oddziału Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa, wydana w broszurce nakładem „Łowca polskiego").

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ IV.

Polowanie.

Terminy polowania.— Polowanie na wychodnego. — Polowanie na wabia. — Polowania z podjazdu i na podchodnego. — Polowanie z nagonką. — Przechowywanie ubitej zwierzyny. — Przygotowanie rożków.

Rogacz, trafiony w głowę, w kręgi szyi, w stos pacierzowy, nerki i w przód, to jest w łopatki, pada z dymem na miejscu. Jeżeli rogacz po strzale padł z dymem, to nie zaszkodzi natychmiast przekonać się, gdzie kula trafiła, gdyż łatwo być może, iż dotknęła tylko rożków, czaszki lub stosu pacierzowego i rogacz kontuzjonowany, po chwili, jak gdyby nigdy nic, uchodzi.

Gdy kula ugodziła w komorę, udo i pod krzyż, rogacz wówczas daje „znak", tj. wyrzuca tylnemi cewkami, co robi wrażenie, jakby z miejsca podskoczył do góry, i w kierunku, w którym stał, sadząc w wytężonych skokach, niedaleko pada.

Rogacz, trafiony w żołądek, podbiera cewki pod siebie i krzyż w kabłąk skręca. Trzeba wtedy dublować, gdyż łatwo ujść może.

Jeżeli kula naruszyła gębę, rogacz trzyma w ucieczce głowę przy ziemi; jeżeli przeszyła szyję, znaczy rogacz wyraźnie raciczkami miejsce, w którem stał; w obydwu razach silnie farbuje.

Po trafnym strzale rogacz tylko wyjątkowo beczy. W wypadku takim unosi się zwykle na przednich cewkach,

a wtenczas niewątpliwie kula przeszyła krzyż. Należy więc szybko podążać ku sztuce, aby skrócić żywot zgrabnem pchnięciem nożyka myśliwskiego w miejsce poniżej i między uszy, tam, gdzie dołeczek się znajduje i łatwo namacać się daje. Nożyk przechodzić ma równolegle do czaszki; nie natrafi wówczas na żadną zaporę, gdyż w tem miejscu żadnej kości niema.

Jeżeli samo serce jest przeszyte, wówczas rogacz po krótkim, jednak wytężonym biegu, pada na głowę.

Przestrzelenie którejkolwiek cewki nie jest raną śmiertelną i bardzo łatwo się zrasta.

Rogacz, po śmiertelnym strzale, jeżeli było więcej sztuk razem, odłącza się od reszty, nigdy nie pierzchnie pod górę, a w końcu układa się zwyczajnie na ten bok, w który był strzelany.

Ponieważ ranionego ragacza czasem trudno odszukać, dobrze jest mieć z sobą psa, ewentualnie jamnika, którego poprzednio na kole tropowem do szukania zaprawić (wytresować) należy. Doszedłszy do rogacza, oglądamy przedewszystkiem rożki, następnie odwraca się rogacza, aby skonstatować, gdzie kula weszła.

Wszelkie strzały z boku, z tyłu lub na sztych, nietylko że nie mają cechy myśliwskiej, ale są niepewne i łatwo uszkodzić mogą przednią pieczeń.

Kiedy mowa o pieczeni, to nie mogę pominąć, że rogaczom wogóle, a szczególnie strzelanym w czasie rui, należy zaraz na miejscu wyjąć jądra, wpływa to bowiem na smak mięsa.

Jakkolwiek w dawnych czasach przynależała gałązka świerkowa tylko myśliwemu, który złowił jelenia, to dziś oddaje się także gałązkę świerkową na znak myśliwemu, który położył rogacza, a rogaczowi wkłada się gałązkę do rany od kuli, również na oznakę, że upolowany został przez myśliwego.

Zanim przejdę do ostatniej metody polowania — w której już trudniejszy jest wybór sztuki, do której się ma strzelać, zwrócić muszę uwagę na fakt, zdarzający się często, mianowicie, że niektórzy myśliwi u siebie tylko najsilniejsze rogacze odstrzeliwają, kóz zaś wcale nie. Otóż ze stanowiska hodowli jest, przynamniej to pierwsze zdanie, nie do naśladowania.

Silny rogacz daje silne potomstwo, więc po cóż bezwarunkowo wszystkie najsilniejsze rogacze odstrzeliwać?

Co do kóz, to jakkolwiek przy większej ilości jałowych przyrost nie stoi w pożądanym stosunku do zwierzostanu, to przecież pozostawienie ich, czyli użyczenie łaskawizny w kniei — jako matkom rodu — jest rzeczą poniekąd usprawiedliwioną.

Ostatnią metodą polowania na sarny jest polowanie z nagonką.

Znając potrzeby i indywidualność sarny, musimy przyznać, że metoda ta wcale do wykonania polowania się nie nadaje, a pomimo tego bardzo obszerne ma zastosowanie.

Z nagonką poluje się zwyczajnie w zimie, a zatem w czasie, kiedy rogacz włos zmienił i rogi zrzucił. Wprawny myśliwy odróżni rogacza od kozy po więcej zaokrąglonej głowie, po krótkiej i grubej szyi, ale pewniej jest rzucić okiem na pędzel, który w tym czasie, nawet na większą odległość, dokładnie jest widoczny.

Gdy razem więcej sarn wychodzi, to rogacz zwyczajnie podąża w środku, lub ostatni. Jeżeli zaś w stadku jest dwa lub więcej rogaczy, to one zwykle razem się trzymają.

Często także rogacz zostaje z tyłu, aby obserwować ruchy kóz, i skoro tylko spostrzeże charakterystyczny ruch gwałtowny, zwiastujący obecność nieprzyjaciela, rogacz cofa się w tył i więcej nie wychodzi.

Ponieważ sarny bardzo niechętnie dają się naprzód pędzić i często wymykają się bokiem, należy koniecznie obstawić bok i flanki li naganiaczami. Ilość naganiaczy zależną jest od wielkości miotów i jakości kniei, w każdym jednak razie powinno ich być tylu, aby jeden drugiego widział. Konieczny warunek pomyślnego rezultatu jest, aby nagonka szła cicho, równo i wolno.

Pierwszego jednak chyba nikt jej nie nauczy, gdyż zawsze, gdy nagonka zobaczy zwierzynę, krzyczy w niebogłosy, robi się hałas i zamieszanie, a o przywróceniu ładu i mowy być nie może; zwierzyna tymczasem właśnie w miejscu, gdzie najwięcej hałasu, przez ludzi się przedziera i wstecz uchodzi. Jeżeli zatem nagonka jest tak niesforna, to przynajmniej zachowanie myśliwego na stanowisku musi pod każdym względem być wzorowe

Myśliwy pozostaje na stanowisku do czasu zawiadomienia kierownika polowania, ile sztuk i jakiej zwierzyny na stanowisku położył, a ewentualnie wskazania i objaśnienia, gdzie i jaką postrzelił. Postrzałków grubej zwierzyny, do której i rogacz należy, nie poszukiwać zaraz, lecz wyczekać, aż twardo zalegnie, gdyż niepokojony bardzo daleko uchodzi, a nawet zginąć może.

Po zebraniu zwierzyny, sprawdzeniu ilości sztuk, ubitych w miocie, następuje miot następny.

Jeżeli ubita zwierzyna na miejscu patroszona być nie może, to dobrze jest przynajmniej skórę i oponę brzuszną przebić, aby wewnątrz tworzących się gazów nie wstrzymywać.

Do myśliwskiego patroszenia układa się rogacza na grzbiecie, przystępuje do głowy, przecina skórę na szyi i w taki sposób wzdłuż, aby umożliwić łatwe ujęcie i rozdzielenie krtani od przełyku. Rozdział dla następnego, łatwiejszego wyjęcia uskutecznić głęboko aż do klatki piersiowej, często bowiem niedostatecznie oddzielony przełyk urywa się.

Oddzielony u nasady przełyk przekłuwa się i przez otwór kilka razy przewija koniec tak, aby pożywienie nie wypływało. Można także w tym samym celu zawiązać supeł. Poczem, nie przestępując sztuki — gdyż to nie po myśliwsku — udać się do tyłu, nakłuć skórę i błonę brzuszną, włożyć w otwór wskazujący i średni palec lewej ręki, między którymi ostrożnie, aby nie naruszyć wnętrzności, przeciąć skórę i błonę aż do klatki piersiowej. Nóż posuwać się ma, jak w łożysku, między dwoma palcami. Następnie rozdzielić uda, namacawszy palcami spojenie miednicy, a na spojeniu kości przeciąć i wykroić kiszkę odchodową. Teraz obydwie ręce, wsunięte do wewnątrz, ujmują przełyk za żwaczem i bez naruszenia wątroby i nerek, wysuwają wnętrzności na zewnątrz.

Kiedy wnętrzności wyjęto, dobrze jest głowę naprzód nieco unieść, aby farba (krew) spłynęła. Niekiedy patroszenie na tem się kończy, a to, co do szarpaniny należy (płuca, serce, wątroba i nerki), zostaje wewnątrz.

Jeżeli i szarpaninę ma się wyjąć, wówczas dwoma cięciami okrawuje się błonę brzuszną, która dzieli brzuch od klatki piersiowej, przecina krtań, następnie zaś ujmuje się prawą ręką z góry za krtań, a lewą pomaga, aby wszystko, co do szarpaniny należy, razem wyjąć na zewnątrz.

Rogacza wiesza się w chłodnem miejscu głową do góry.

Do przesyłki wypełnia się rogacza świerczyną, jeżeli zaś w lecie, to lepiej pokrzywami; głowę umieszcza się w cewkach i następnie cewki przewiązuje.

* * *

Skończyłbym na tem, wypada jednak wspomnieć i o rożkach. Wszak i rożki musi się umiejętnie wyjąć, aby następnie, ładnie oprawione, stanowiły nietylko wspomnienie, ale i ozdobę myśliwskiego gabinetu.

Otóż w tym celu odkrawa się skórę wokoło, od uszu do oczu, a następnie prawie na trzy palce szeroko z tyłu rożków tak ostrą piłką odrzyna, aby cięcie szło równolegle do czaszki, a kończyło się przy oczach, poczem słabem nacięciem porowatą kość przełamuje.

Rożki najlepiej zaraz wygotować; aby zaś łatwiej mięsne części oddzielić, można dodać nieco sody, jednak nie dużo, gdyż przy zadużej dawce kość kruszeje, Aby po wygotowaniu uzyskać śnieżno-białą osadę i część czaszki, należy ją blichować. Tak przy gotowaniu, jak i następnem blichowaniu, uważać na to, żeby rożków nie maczać. gdyż stracić mogłyby kolor. Blichowanie urządza się w ten sposób, że czaszkę i osadę macza się w wodzie i wystawia na słońce, po wyschnięciu macza się ponownie, i tak długo proceder powtarza, aż czaszka nie uzyska żądanej białości.

Na tem kończę monografię sarny w nadziei, że słaba ta praca chociaż w części odpowie zadaniu.



CAMILLO MORGAN

Wspomnienia myśliwego z Hiszpanji.

(Ciąg dalszy).

Koziorożec hiszpański (*Capra hispanica* albo *Ibex hispanicus*), zwany przez Hiszpanów *labramontes*, wielkością dorównuje zupełnie kozicy alpejskiej. Wyrosły koziorożec mierzy $1\frac{1}{2}$ m. długości, od kozicy jednak różni się wielce przez ukształtowanie rogów. U koziorożca wyrastają one bardzo blizko siebie, idą z początku prostopadle do góry i dopiero w jednej trzeciej części swej długości zwracają się na zewnątrz, rozkładają się potem w kształcie liry i dopiero w ostatniej swej trzeciej części osiągają największe oddalenie od siebie, aby się znowu zbliżyć sterczącymi prostopadle końcami. Pierścienie, oznaczające wzrost albo lata, zaznaczają się wyraźnie poprzecznemi zgrubieniami, nie znać wszakże na nich tak wyraźnego członkowania, jak u kozicy alpejskiej. Rogi koziorożca rosną z roku na rok i, licząc wzdłuż krzywizny, mogą dojść do metra długości, a u nasady do 25 cm. obwodu, podczas gdy rogi kozy dochodzą najwyżej do 15 cm. długości i wyróżniają się tylko wąskiemi, gęsto obok siebie wyrosłemi zgrubieniami. Sierść koziorożca jest latem jasno - brunatna, ciemniejsza nieco na głowie; w zimie jest on koloru brunatnego, wpadającego w czarno-popielaty; tylko grzywa, zaczynająca się u koziorożca tuż za rogami, broda i uwłosienie pędzla, pozostaje przez rok cały to samo. Kozy są niemal tej samej barwy, co samce, koźlęta tylko mają nieco ciemniejsze futro od matek, tylko ich odnoża są niemal czarno-brunatne.

Koziorożec przebywa we wszystkich niemal górach Hiszpanii, a więc w Pirenejach, w Sierra Nevada, Sierra de Segura, Sierra de Cuenca, Sierra Morena i Sierra de Toledo; najwięcej go jest jednak w Sierra de Gredos, która uchodzi skutkiem tego za klasyczne miejsce jego pobytu. W Sierra de Gredos, Sierra Nevada, Sierra de Segura i Sierra de Cuenca jest on nieco mniejszy i jaśniejszy, niż w Pireneach, i dlatego rozróżniali starsi zoologowie (n. p. Schimper) dwa rodzaje koziorożców hiszpańskich; naturalnie że nowsze badania zbiły to twierdzenie i ustaliły fakt, że w całej Hiszpanii i w przylegającej części Portugalii istnieje tylko jeden rodzaj koziorożców.

Wracam teraz do naszego polowania. Gdy wszystkie 11 ubitych sztuk zostały wypatroszone i całą zdobycz ułożono na dwóch noszach, zrobionych zaraz na miejscu i nakrytych zielonemi gałęźmi, zaczęliśmy się gotować do powrotu do Barco; był on prawdziwym tryumfalnym marszem. Pasterze i drwale śpiewali z taką ochotą, że radość brała ich słuchać; głosy ich były młode, piękne, dotrzymywali doskonale taktu. Na pierwszy ogień poszła u pasterzy stara hiszpańska pieśń, sławiąca piękności kraju; każda zwrotka jej kończy się refrenem:

Quien no ha visto a Granada,
No ha visto nada,
Quien no ha visto a Sevilla
No ha visto maravilla!

co znaczy: Kto nie widział Grenady, niczego nie widział, a kto nie był w Sewilli, nie zna, co to cud!

Potem poszły inne pieśni, śpiewane już razem, przez drwali i pasterzy, jak stara melodya hiszpańska, zaczynająca się od słów:

Tras el verano viene el otono!
(Po lecie przychodzi jesień)!

Drwale wreszcie zaśpiewali sami swą niemal zawodową pieśń, kończącą się zwrotką:

Hasta la lena en el monte
Tiene su separation;
Una sirve para santos
Y otra para hacer carbon!

(Nawet drzewo na górze ma dwa przeznaczenia; z jednego rzeźbi ktoś świętą figurę, drugie zamienia się w węgiel).

Opowiadał nam Don Esteban, że ksiądz, odwiedzający Barco od czasu do czasu, gromił już drwali niejednokrotnie z kazalnicy za tę pieśń, tak mało uszanowującą świętych i groził im nawet za to surowemi karami kościelnemi. Barczańscy robotnicy leśni nie mogą się wszakże, mimo całą swą pobożność, odzwyczaić od tej swej „pieśni o drzewie“, śpiewanej jeszcze zapewne przez ich praojców, i to zdaje się w czasach, gdy Stara Kastylia była jeszcze samodzielnem królestwem. Aby więc i wilk był syty i owca cała, nie śpiewają o krytycznem drzewie w czasie, gdy ich Ojciec duchowny odwiedza Barco; gdy je wszakże tylko opuści, rozbrzmiewa znów ulubiona pieśń ze wszystkich gareł, czy to w porze spoczynku, czy też w lesie, gdy piły i siekiery są w ruchu. Nie psuje ona nawet szyku uskrzydlonemu „koledze“ drwali, dzięciołowi, którego zwą oni żartobliwie *Carpintero* (cieśla); gdy rozlegnie się „pieśń o drzewie“, kuje on dalej, jak i kuł, w korę.

Tak to z łaski św. Huberta odnieśliśmy piękny tryumf w polowaniu na zwierzynę skalną; każdy z nas mógł

zabrać z powrotem do ojczyzny po dwie pary wspaniałych rogów koziorożca, jako drogocenne trofea. Odtąd postanowiliśmy nie polować już więcej na tego *Ibex hispanicus*, a dostać przed lufę rysie pardelowe. Dlatego też drugą naszą wyprawę myśliwską skierowaliśmy w dolinę Tormes, gdzie to znajdował się właśnie las, zamieszkały przez króliki, a o którym poinformował nas naczelnik gminy Barco. Tam właśnie miała siedzibę owa para starych, krwiożerczych rysiów. Wyruszyliśmy więc w drogę w towarzystwie Don Estebana i przewodnika, przyrzeczonego nam już uprzednio przez naczelnika gminy, a znającego doskonale i jaskinię, gdzie rysie się kryły i wszystkie ich ścieżki i przechody; w lesie tym bowiem pracował przez długie tygodnie jako drwal i zdołał dokładnie zaobserwować cały tryb życia pary starych drapieżców.

Droga, którąśmy się udali, wynagrodziła nas szczodrze za ten wybór. Od Barco i jego małego jeziora wiodła naprzód do jeziora drugiego, wyżej położonego w Sierra de Gredos, potem do Laguna de Gredos, z którego Tormes wypływa już jako pokaźna rzeka i po 200-kilometrowym biegu, naprzód na północ, potem ku północnemu zachodowi, wpada do Duero (po portugalsku Douro) — jako jego najpotężniejszy dopływ, spławny już od Salamanki dla łodzi. Ujście Tormesu znajduje się koło hiszpańskiego miasta granicznego Fermoselle. Jak przedtem, wzdłuż średniego biegu Ebro, tak i tu, po obu brzegach Tormesu, szliśmy milami kasztanowymi lasami. Drzewostan tu wspaniały, widoki cudne, wśród obfitego listowia rozbrzmiewają o zmierzchu pieśni wieczorne Ruisenera, małego, uskrzydlonego śpiewaka w skromnej, szarej szacie, który u nas zwie się słowikiem. Gdyśmy schodzili z gór w tę zaprawdę rajską dolinę rzeczną. przechodziliśmy obok szczególnie ukształtowanych skał, jakie posiada znana „saska Szwajcarya“ nad Łabą, na północy Czech, w piaskowcowych górach koło Königsteinu i Liliensteinu. Hiszpan nazywa te płaskie u góry, strome po bokach góry „Muelas“, t. j. trzonowe zęby. Charakterystycznymi dla obrazu nadrzecznego Tormesu są liczne młyny, huczące tu i tam przy wtórze szumu poruszających się fal rzecznych. Malarz krajobrazów znalazłby tu mnóstwo uroczego materyału dla siebie w tych sielankowych podwórcach młyńskich, z ich wielkiemi kołami, z śluzami, zastawami i spadem wody. Gdyśmy wszakże po wielogodzinnym marszu w palącym żarze słonecznym chcieli odpocząć w jednym z tych młynów i pokrzepić się winem czy mlekiem, powstrzymał nas od tego zamiaru Don Esteban.

„Nie, Senores! Nie pozwolę wam nigdy wstępować do młynarza!“ — zawołał żywo.

„Dlaczegoż to?“ — zapytał zdumiony baron.

„Gdyż obok krawców i tkaczy uchodzą w Hiszpanji młynarze za największych hultai!“ — odrzekł poważnie Don Esteban. „Już stare hiszpańskie przysłowie mówi: Cien sastres, cien molineros y cien tejederos son trecientos ladrones (Stu krawców, stu młynarzy i stu tkaczy — to razem trzystu hultai).

„Jak można żywić takie uprzedzenia!“ — mówił śmiejąc się rozweselony baron. „Na przysłowiu nie można polegać! Tak przecież rzadko sprawdzają się dzisiaj one! Chcę to panu udowodnić i dlatego wstąpmy do tego młyna!“

I z temi słowy poszedł baron prosto ku młynowi.

„Zrobiłem, co mi obowiązek nakazywał i ostrzegłem panów!“ — mruczał Don Esteban pod nosem, i zwolna poszedł za nami do młyna, gdzie baron bardzo szybko się porozumiał z młynarzem.

„Wina niema!“ — informował nas baron, gdy młynarz się oddalił. „Dostaniemy za to mleka owczego, sera i chleba! Pokrzepimy się i tem!“

Za chwilę przyniósł rzeczywiście młynarczyk na jakiejś desce prosty, ale błogi dla naszego oka posiłek, a młynarz, stanąwszy opodal, zacierał z zadowoleniem ręce. Gdy go wszakże potem baron zapytał, cośmy mu winni (mieliśmy 4 litry mleka, 4 nie duże serki i 4 kromki czarnego chleba), młynarz zgiął się w ukłonie i uniżenie odpowiedział:

„*Duo Pesos fuertes, vuestra Excelencia!*“ — A trzeba dodać, że *Peso fuerte* — to w ludowem narzeczu *Duro de plata*, największa srebrna hiszpańska moneta, równająca się 4 koronom. A więc poczciwy młynarz policzył nam za skromną przekąskę 8 K.! Zapłaciliśmy je, nie rzekłszy słowa! ale gdyśmy się stamtąd oddalili, przyznał baron słuszność Don Estebanowi...

Tak staliśmy się lżejsi o dwa *Pesos fuerte*, a bogatsi o jedno doświadczenie. *(Przeł. Al. Ant. W.)*

Mój pierwszy....!

Łukawica dolna, 13. kwietnia 1910.



Jak w każdym pędzie życiowym naprzód, tak i w duszy myśliwca tkwi ów pierwiastkowy impuls, by iść coraz dalej, by nowemi trofeami ozdobić skarbiec myśliwskich zdobyczy.

I jak duchowy głód rozpętanych aspiracji duszy nieda się zaspokoić napotkanym w życiu pierwszym lepszym sukcesem — tak i myśliwy wlicza z zamiłowaniem coraz to nowe zdobycze do swej kroniki łowieckiej, a myślą goni już znów za nowemi trofeami!

I mnie, choć warunki dały mi możność przeżywania niejednej miłej dla łowca chwili, brała niezmożona niczem ochota, by pokusić się o tak ponętnego zwierza polskich borów, jak niedźwiedź i zapisać go w poczet ubitej dotąd przezemnie zwierzyny.

Myśl taką nie łatwo urzeczywistnieć; trzeba wedrzeć się w sam środek naszych Karpat, a w dzisiejszych naszych

warunkach nie przychodzi to zbyt łatwo, choćby i przy rozumnej gospodarce łowieckiej.

Ten osobliwy zwierz wszakże nie ginie u nas dzięki umiejętnej hodowli, w szczególności zaś dzięki hodowcom tej miary, co p. Zlamal, dyrektor państwa Wełdzirz.

Kroki moje skierowałem już był po raz czwarty w góry Wełdzirza, by z czatowni, nocą, przy martwej przynęcie, spróbować szczęścia do zgłodniałego zimą niedźwiedzia.

Z czasów młodości naszej, z lektury i z tradycji przodków, inne pojęcia i obrazy polowania na niedźwiedzia pozostały w naszej wyobraźni!

Inaczej brzmiała pobudka na łowy w nieśmiertelnej księdze 4-tej Pana Tadeusza!

Nic nie zostało dzisiaj z wielkiej poezji dawnej walki z niedźwiedziem i odwagi osobistej, kiedy nierzadko oszczep w ręku rozstrzygał, czy człowiek czy niedźwiedź zostanie w spotkaniu panem pobojowiska.

Dzisiejsza cywilizacja, oparta na badaniu tajników przyrody, wyzyskiwaniu tejże przez człowieka w walce z resztą żywej natury, każe człowiekowi wspinać się na czatownie, ponad sferę węchu niedźwiedzia i ze sztućcem, opatrzonym krzyżem lunety, czekać na przybycie zwierza do martwego konia. Dawniej przebiegał kulminacyjny wstrząs i dreszcz radośny po ciele myśliwca, kiedy po walce, opartej na przytomności umysłu i sile muskułów, cielsko kudłate waliło się u stóp człowieka; — dzisiaj, w wieku nerwów, nastrojów, a słabych mięśni, polega wzruszenie na czatowaniu, kiedy wśród ciszy leśnej, wśród szmeru szumiących potoków, myśliwy, zapatrzony w ciemny punkt przynęty, słyszy bieg krwi własnej — kiedy wyobraźnia żywo nawiązuje obrazy dawnych łowów, a cała energja duszy skupia się w jednym zmyśle wzroku, by wśród ciemni nocy ująć jeszcze na krzyż lunety czarne, żywe cielsko niedźwiedzia, skoro zgłodniały zimą, przyjdzie na końską karmę.

Te wrażenia przeżywałem, kiedy po raz czwarty z czatowni w lasach Wełdzirza, czekałem wieczorem na długo wyczekiwanego niedźwiedzia.

W głębi odludnej kniei, przy drodze, wiodącej z Ludwikówki do Wyżkowa, stanąłem 21. marca br o godz. 4-tej popołudniu w gajówce Jełemskiego. Stąd pieszo, po pięciu minutach drogi, stanąłem na czatowni o 5. godzinie.

Czatownia, położona na stromem zboczu góry — zwrócona jest ku wartko płynącemu strumieniowi i przyległej do niego polanie leśnej, porosłej zrzadka 10-cio letnimi świerczkami. Na tej to polanie, za strumieniem, leżało ścierwo konia, do połowy nadjedzone w dwu ubiegłych nocach. Prócz tego bielały na polanie dwa szkielety końskie. Odległość czatowni od przynęty wynosiła w linji powietrznej 30 kroków.

O 6. godzinie przekonałem się, że przesuwające się na widnokręgu chmury zakrywały w zupełności księżyc, tak, że tylko chwilami przyświecał on bardzo słabo z poza chmur. Przy zupełnym braku śniegu, przy tak słabem oświetleniu i zrywającym się silnym wichrze, począłem tracić nadzieję możliwości celnego strzału. O w pół do 7-mej nie widziałem już ani muszki, ani szyny na podwójnym, 9 mm. sztućcu. Trzy rodzaje nocnych muszek, które miałem ze sobą, na nic się nie zdały. Odłożyłem więc podwójny sztuciec*), a wziąłem do ręki sztuciec repetierowy 9 mm., opatrzony lunetą o grubym krzyżu. Z tej broni mogłem jeszcze, przy pomocy lunety, do 7. godziny dokładnie mierzyć. O godz. 7. jednak tak pociemniało, że już nie dostrzegałem krzyża w lunecie, tylko w polu lunety widziałem jeszcze przynętę cośkolwiek jaśniej, niż gołem okiem; wskazówek zaś czarnych na białej tarczy zegarka nie widziałem już zgoła. Wobec tego straciłem nadzieję osiągnięcia celu w tym dniu, ale postanowiłem czekać do północy. Tego samego wieczora, jak się dowiedziałem później, czatował w lasach Perehińska p. A. S.

Położenie, wśród ciemnej nocy i górskiej ciszy, przerywanej tylko jednostajnym szumem strumyka, zaczynało stawać się ciężkiem. Zegarek odmawia w ciemności służby, czas wydłuża się w nieskończoność, a zniecierpliwienie z trudem daje się opanować, zwłaszcza, że konieczny tu ogromny spokój, by czujnego i nader zmyślnego zwierza nie spłoszyć swą obecnością! Niema tu mowy o zapaleniu choćby jednego papierosa, co staje się męką dla namiętnego palacza.

W takim nastroju, kiedy wyobraźnia na swoim zegarze co najmniej północ znaczyła, otrzymałem silnego szturchańca od Jełemskiego, towarzyszącego mi na czatowni. Zrozumiawszy ten dość plastyczny giest, złożyłem się natychmiast w stronę przynęty i dojrzałem przez lunetę sztućca słabo na tle martwego konia zarysowaną sylwetkę niedźwiedzia. Błyskawicznie zorjentowałem się: „Niedźwiedź stoi na połeć, nadzieja lepszego światła wykluczona, lada podmuch zmiennego wiatru może zdradzić mą obecność!" Domniemanym więc środkiem lunety staram się znaleść łopatkę — pada strzał.... Cały ten proces decyzji odbył się w kilku sekundach. Mówiono mi, że raniony niedźwiedź odzywa się groźnym, boleśnym rykiem. Ponieważ zaś nie usłyszałem żadnego głosu, przebiegła mi przez głowę przykra, rozpaczliwa myśl: „Za prędko strzeliłeś i chybiłeś!" Jednakże głos Jełemskiego: „Łeżyt!" wybawił mnie z przykrej chwili niepewności, a i oko moje spoczęło wkrótce na ciemnej masie, leżącej na przynęcie.

W tej chwili mój Jełemski wcisnął mi w rękę podwójny sztuciec, wołając: „Strylajte, medwid' prytajiw sia!" Zasuggestyonowany silnym ruchem i głosem stanowczym, nie ochłonąwszy jeszcze z wrażenia po pierwszym strzale, dałem 2 niepotrzebne strzały w kierunku ciemnej masy, nie widząc ani muszki ani szyny. Po strzałach cisza — niedźwiedź nieruchomy, jak przedtem, spoczywa na przynęcie. Miejsce uczucia niepewności zajęło uczucie radośnego przeświadczenia: „Mój pierwszy niedźwiedź ubity!". Naturalnym odruchem zapaliłem papierosa; ku zdziwieniu zobaczyłem przy świetle zapałki, że to dopiero wpół do 9-tej!

Zaświeciwszy latarkę, zeszliśmy ku niedźwiedziowi. Przezorny Jełemski radził jeszcze zbliżać się do niedźwiedzia, z bronią do strzału gotową. Z odległości 10 kroków począł nadto Jełemski, w obawie o swą osobę, rzucać patykami na cielsko niedźwiedzie, wołając: „Wstawaj, Matiju!"

Niedźwiedź jednak leżał, już od pierwszego strzału martwy. Przy latarni stwierdziłem jedną kulę w łopatce; nie szukałem więcej, w mniemaniu, że ostatnie strzały, dane przezemnie prawie na oślep, chybiły.

Tymczasem nazajutrz rano znalazłem w niedźwiedziu drugą kulę w karku, a trzecią w brzuchu.

Pierwszym więc pociskiem, który w miejscu położył go trupem, był zapewne pocisk w karku.

Niedźwiedź. o pięknych, ciemnych kudłach, mierzył 2 metry długości; w dolnej szczęce miał zarośniętą kulę, wskutek czego stracił prawy dolny kieł, drugi zaś dolny kieł skutkiem tego uszkodzenia szczęki wykrzywił się do środka.

*) Nab.: Rygby 9/70 m/m, 3 gr. prochu bezd., 1 g. podsypki pr. czarn. 20 gr., pocisk z końcem ołowianym; chyż. początk. 720 m. sek., ciśnienie w atmosferach 45'70, siła żywa pocisku 540 mklg.

Te niezatarte nigdy wrażenia zapisały się głęboko w mej duszy, bo ziściły moje dawno żywione i gorące pragnienia ubicia tego rzadkiego, a pięknego zwierza.

Włodzimierz Barański.



WŁADYSŁAW GÜRTLER.

Kokosznik.

(Astur palumbarius)

W dniu 15. lutego br. wyszedłem do swoich gołębi, by im podać karmę. Zaledwie otworzyłem gołębnik i kilka gołębi wyleciało, gdy naraz powstał wśród nich niezwykły popłoch: jeden uciekł obok mojej ręki do gołębnika, inny wleciał do drewutni, inny znowu schronił się aż w piwnicy, a kilka wzbiło się w powietrze. Oglądam się i widzę, jak tuż ponad domem, nizko, nadlatuje kokosznik. Spędza jednego gołębia, który został jeszcze na dachu, puszcza się za nim w pogoń, i okrążywszy ogród, dogania i nad samym dachem chwyta w szpony. Ująwszy mocno ofiarę, opuszcza się w dół i siada gdzieś za domem. Nie namyślając się wiele, przybiegam do pokoju, chwytam za strzelbę, biorę ze sobą cztery naboje i z postanowieniem gonienia za rabusiem choćby kilka kilometrów, wychodzę. Za domem widzę go rzeczywiście na śniegu; siedział na gołębiu. Spostrzegł mnie jednak zawczasu i wzleciał, ale razem ze zdobyczą. Strzelić jeszcze nie mogłem, gdyż nie zdążyłem włożyć naboju, zresztą nie zoryentowałem się w sytuacyi. Poleciał o jakie 200 m dalej i siadł w ogrodzie, za wysokim parkanem. Poszedłem za nim, a ponieważ po chwili zaczął już jeść, był mniej ostrożny i nie zważał na mnie. Wyszukałem, położywszy się na ziemi, mały otwór w parkanie nad ziemią, włożyłem weń koniec lufy i wziąwszy kokosznika na „muszkę“, strzeliłem z odległości 60 kroków. Jastrząb został. Raniony w skrzydło, stawiał zacięty opór. Dostałem go do rąk dopiero przez zarzucenie nań futerka. Był to duży samiec. Cała awantura trwała nie dłużej jak 10 minut, a gołąb był już do połowy zjedzony: głowa, szyja i część piersi pogrążyły się w wolu kokosznika. Następnego dnia byłem na przechadzce w polu i znalazłem w dwóch miejscach pióra po zjedzonych kuropatwach; prawdopodobnie ten sam osobnik był i tu sprawcą.

Ze względu na nieobliczalne wprost szkody, jakie kokosznik zrządza łowiectwu i gospodarstwu, podaję jego opis i niektóre ciekawsze daty z jego żywota, jakie albo sam zebrałem, obserwując go od bardzo dawna, albo od kogo innego o nich słyszałem, w nadziei, że zainteresuje się tym niezwykłym drapieżnikiem szerszy ogół naszych myśliwych.

Kokosznik, jastrząb, gołębiarz, kuropatwiarz, *astur palumbarius*, *gallinarum*, *accipiter astur*, jest wielkim silnym drapieżcą, o długości ciała wraz z ogonem około 60 cm, a w sięgu skrzydeł do 1. m dochodzący; na ogon przypada 24 — 28 cm. U starszych głowa, grzbiet, barki, skrzydła i ogon jasno-brunatne, ze słabym metalicznym połyskiem, nadto każde pióro na tych częściach ciała ma ciemniejszą obwódkę. Pod szyją i na piersiach jest upierzenie wogóle jaśniejsze, przeważnie popielate, w poprzeczne, brunatne prążki, jak u kukułki. Ze spodu, w nasadzie ogona, wyrastają mu dość długie, białe i puszyste pióra. Za oczyma nosi ciemne bokobrody, czem przypomina wędrownego sokoła, nad okiem widnieje biała pręga. Wszystkie pióra mają sprężyste chorągiewki i gładko przylegają do ciała. Lotki są silne, nierównej długości, skrajne najdłuższe, sięgające do trzech czwartych sterówek, które są pod spodem rzadko prążkowane, wszystkie jednakowo długie i zaokrąglone na końcach. — Ciało jest szczupłe i dość smukłe. Głowa proporcyonalna, o czole i ciemieniu spłaszczonem. Dziób silny, długości 1 cm, od nasady hakowato zgięty, barwy rogowej; dolna część dzióba o połowę krótsza, na całej długości prosta, o krajcach bardzo ostrych, a końcu wyraźnie lejkowatym. Paszcza szeroka, blado — czerwona, z grubym, mięsistym językiem. Górna połowa dzióba opatrzona u nasady ciemno — żółtą woskówką, w której widać dość duże, okrągłe otwory nosowe. Oczy boczne, okrągłe, duże, z tęczówką pomarańczowo — żółtą, opatrzone dwiema powiekami; nad niemi wyrasta rogowy daszek, służący za ochronę oka, gdy jastrząb uderza na łup, znajdujący się w krzakach. Ciało spoczywa na dwóch wysokich, silnych nogach, upierzonych po dolną połowę skoku, a okryte od pięty zeschłą, tarczkowatą skórą barwy żółtej; nogi mają po cztery palce, z których trzy zwrócone wprzód, a jeden w tył, opatrzone długimi, bardzo ostrymi szponami, szczególniej palec tylny; trzeci, wewnętrzny, jest przy nasadzie spięty błoną, inne palce są wolne; pod każdym z nich widzimy po dwie wyraźne poduszeczki. — Wyrośnięty kokosznik waży do $1^1/_2$ kg.

Jastrząb ten żyje prawie w całej Europie i środkowej Azyi, nie wszędzie jednak w jednakowej pojawia się ilości. W Anglii np. należy do rzadkości, tak, że przybycie jego notują w dziennikach; na Islandyi wcale go niema. Również jest dość rzadki we Włoszech i w Hiszpanii. Natomiast we Francyi, w Niemczech, w Skandynawii, w Rosyi i w Austryi, zwłaszcza w Galicyi, jest zjawiskiem zwykłem; w Małej Azyi, w Syberyi i w Persyi bardzo częsty. Niekiedy odbywa dalekie podróże, ciągnąc za ptactwem przelotnem aż do Egiptu, ale takie wędrówki należą do rzadkości, gdyż lubi życie osiadłe i przywiązuje się do ojczyzny. Zwykle w listopadzie rozpoczyna łupieżcze wyprawy, przenosząc się z wielkich lasów w pobliże wsi i miast. Lubi okolice pagórkowate i zalesione. Jako krwiożerczy i nienasycony rabuś, żyje samotnie, nie znosząc w sąsiedztwie konkurencyi drugiego. Odznacza się dzikością, śmiałością, siłą i inteligencyą. Lot ma szybki mimo krótkie skrzydła, i pewny, zwłaszcza, gdy uderza. Czasami wzbija się w górę, chwilę krąży i wtedy przypomina lotem gołębia — grzywacza. Często jednak lata nizko nad ziemią, nie poruszając prawie skrzydłami, i omijając dziwnie zręcznie wszystkie przeszkody, jak gałęzie drzew, krzaki i t. d. Goniąc za gołębiem lub kuropatwą, obiera najkrótszą drogę, z ukosa. W pogoni oblicza przypuszczalny kierunek lotu swej ofiary i zabiega jej zawsze drogę. Czatując, siada zwykle na grubych, nizkich gałęziach, blizko pnia; siada czasem i na dachach. Głos ma gdaczący w czasie parowania, w przestrachu ćwierka, tak samo odzywa się, gdy wystrasza z gęstwiny drozdy lub szpaki.

Widzieć go można o każdej porze dnia, ale najczęściej wczesnym rankiem i po południu. Przelatuje znaczne przestrzenie, wraca jednak chętnie do miejsca, gdzie mu się polowanie powiodło. W sadach leci nizko między drzewami, siada niespodzianie na grzbiecie kury, zaraz ją zabija i jeść zaczyna. We wsi obiera drogę przesmykami i między chatami: każda luka, każde przejście jest dobre dla niego. Zdumiewająca żarłoczność zmusza go do ciągłych łowów i dlatego jest zawsze niezmordowanie czynny. Padliny nie tyka.

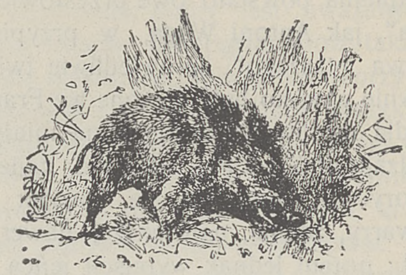
Poluje na wszelkie ptactwo: od dropia i głuszca — aż do wróbla; uderza na zająca, wiewiórkę, na szczura i na mysz. Ulubionem atoli jego pożywieniem są kuropatwy, gołębie, bażanty, młody drób i młode zające. Paniczny strach ogarnia stworzenia, które się z nim zetkną; często zdrętwiałe, rażone strachem, oczekują z rezygnacyą śmierci, a łupiezca tem łatwiejsze ma zawsze zadanie, że zjawia się nagle. Wszystko mu jedno — czy to kraj lasu, czy luka między chatami lub drzewami, czy parów, czy trzcina nad stawem; jak błyskawica spada na zdobycz, chwyta, unosi kilkadziesiąt metrów dalej, siada i zjada.

Chociaż ptak lub zwierzę ginie zazwyczaj już w szponach jego, jednak dla pewności zaczyna ucztę od głowy; pewnem uderzeniem dzióba zrywa czaszkę, wyjada mózg, a potem dopiero skubać zaczyna z grubsza i dobiera się do mięsa, a połyka kąski z pierzem, sierścią i kośćmi. Niestrawione części pokarmu, zbite w kule, wyrzuca później dzióbem.

Gołębie, tak swojskie, jak i dzikie, stanowią ulubioną jego potrawę, bo i mięso ich smaczne i ciężar niewielki; może ponieść zdobycz i pół kilometra. Gdy uderza na nie, stara się zawsze odbić jednego od stadka, a jeśli się mu to uda, poprawia się w powietrzu (co poznać po wstrząśnieniu ogona), i lotem błyskawicy goni; jeśli gołąb tylko niżej od niego, przepada bez ratunku: dopędza go w ciągu kilku sekund, chwyta i unosi. Goniąc na blizko, naśladuje lotem przedziwnie wszelkie zwroty ofiary. Jeśli gołąb jest graczem i wzniesie się odrazu w górę, zwykle uchodzi, gdyż jastrząb męczy się rychło forsownym lotem. W pogoni nie żenuje się obecnością ludzi: można krzyczeć, rzucać kamieniami — wszystko na nic! Przed rokiem widziałem, jak chwycił gołębia na stacyi kolejowej w Czortkowie między wagonami, w chwili, gdy pociąg nadjeżdżał i gdy rozlegał się świst lokomotywy. Siadł zaraz za magazynem i zjadł zdobycz. Zdarza się, że wysunąwszy do chwytu tylko jedną nogę, nie ujmie dobrze zdobyczy i gołąb wtedy spada na ziemię. Jeśli nie ma w pobliżu nikogo, podnosi łup, jeśli zaś przybiegnie ktoś na ratunek, odbija gołębia, ale ten ginie zazwyczaj rychło wskutek głębokiej rany, choćby jednym szponem zadanej.

Jeszcze zapalczywszym jest w polowaniu na kuropatwy. Przed laty, gdy byłem jeszcze bardzo młody, wyszedłem jesienią na przechadzkę za folwark. Wśród łanu kartofli stała sterta — a dokoła niej było trochę wolnego miejsca. Podchodząc do sterty, spędziłem stadko kuropatw — zerwały się i uleciawszy kilkadziesiąt kroków, nagle pod samą stertą zapadły. Zdziwiony, oglądam się i widzę ogromnego kokosznika, szybującego nizko ku mnie. Siadł natychmiast na rogu sterty i nie zważając na mnie, zaczął rozglądać się po ziemi i szukać za kuropatwami. I byliśmy blizko siebie... Chciał zapewne, bym mu je spędził i ułatwił polowanie. Podszedłem całkiem blizko, rzuciłem nań kijem i dopiero wtedy zmusiłem do odlotu. Najłatwiej mu je dostać w zimie: zbiedzone i zziębnięte ptaki siedzą wtedy w kupce na śniegu i są zdala widoczne. Uderza na nie, jedną odbija i chwyta; w ciągu kilku dni zdziesiątkuje najliczniejsze stado.

(C. d. n.)



„Łowiec Polski“

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem“ Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

(Ciąg dalszy)

Łowiectwo do XIV. wieku.

Podług autora „Myśliwstwa ptaszego“, wyuczano w kraju naszym do łowów różne gatunki orłów, mianowicie: orła zyza (aquila chrysaetos), bielika (aquila fulva), i orlika (aquila naevia): powyższe orły wprawiano do łowów na czworonożne zwierzęta, np. zające, sarny, wilki i lisy. Podług świadectwa Krescentyna (z XIII. wieku). dał się każdy orzeł prędko ułaskawić, aby tylko za młodu z gniazda był wybrany. Przeciwnie. gdy w swej dzikości zestarzeje się, nietylko z trudnością przychodzi go ułożyć, ale staje się jeszcze niebezpieczny dla karmiącego go przez to, że mu się do twarzy rzuca. Myśliwemu, polującemu z orłami lub sokołami na samo ptactwo, towarzyszył zwykle wyżeł; ten je naprzód wyśledzał, poczem wypuszczany był orzeł lub sokół, który nad psem tak długo bujał, dopóki ptaka nie zoczył, którego następnie pędem błyskawicy chwytał.

Z gatunku sokołów wyuczano u nas do polowania następujące: Rarogi białozory (falco islandus), rarogi krzeczoty (falco lanarius, falco peregrinus, falco buteo), myszołowy (falco palumbarius), jastrzębie pospolite (gołębniki), krogulce (falco nisus), i drzemliki (falco aesalon). Ze wszystkich sokołów rarogi białozory najwyższą miały cenę, i powszechnie do polowania napowietrznego były używane. Dziś żyje ten ptak na najdalszej północy, czasem tylko opuszcza swój ostry klimat i odwiedza północne Niemcy. W średnich wiekach lęgły się białozory w Polsce, a najwięcej w Prusach i na Litwie; w łowiectwie były bardzo poszukiwane i wysoką miały cenę. Litewskie białozory i krzeczoty przewyższały inne w śmiałości, sile i wytrwałości, żyły i pracować mogły lat 12, kiedy norweskie tylko lat 2 wytrzymywały. Jan Kazimierz, Sobieski i August II-gi obdarzali złowionymi na Litwie białozorami francuskich monarchów, a Jan III cztery białozory posłał szachowi perskiemu (Patrz. „Gry i zabawy“ Gołębiowskiego). Stąd widzimy, że gatunek ten musiał być bardzo rzadki i wysoko ceniony, kiedy za dar królewski mógł służyć. Tak drogi ptak mógł tylko do możnego należeć właściciela, który, znając skarb, jaki posiadał, z przepychem go stroił, ubierając w kaptur misterny i kosztowny.

Gdy pan, wyjeżdżając na łowy, niósł tak rzadkiego ptaka na ręku, dziwnie ozdobionego kapturem (wysadzanym perłami i drogimi kamieniami przecudnej roboty), tak wielka rzadkość zwracała na siebie oczy wielu ciekawych, a stąd bezwątpienia powstało owe przysłowie: „Patrzą się, jak na raroga“, jak Antoni Waga, w przypiskach swoich do „Myśliwstwa ptaszego“, sprawiedliwie twierdzi. Sokoły powyższe równie wysoko były cenione we Francji i w Niemczech; a że dla myśliwego nieocenioną miały wartość powyższego rodzaju ptaki, dobrze ułożone, najlepiej nas przekonywa historyczne zdarzenie, że Bajazet na wykupno hrabiego Nawarry, żadnej, największej nawet sumy przyjąć nie chciał; potem jednak wypuścił jeńca na wolność za 12 takich sokołów.

Wartość sokoła polegała na tem, aby posiadał wszystkie przymioty dobrego myśliwskiego ptaka, których sokolnik już w pisklętach troskliwie dochodzić był obowiązany, żeby nadaremnie nie łożył kosztu i pracy na osobnika, upośledzonego w czemkolwiek od natury. Podług autora „Myśliwstwa ptaszego“, oceniano wady i zdolności młodych tym sposobem: uważano, który po nakarmieniu ich razem, najprędzej strawił swój pokarm, i tego uznawano najzdolniejszym do łowów; wnioskowano bowiem, że ptak, który posiadał żołądek łatwo i dobrze trawiący, więcej będzie ochoczym do zwierza

Nauka układania ptaka drapieżnego do myśliwstwa dzieliła się podług powołanego dzieła na trzy główne czynności: pierwszą jest unosić go, drugą wabić, trzecią wkarmić (dosłownie z „Myśliwstwa ptaszego“).

Unoszenie ma za cel zwycięźenie wrodzonej drapieżnemu charakterowi dzikości, czyli złagodzenie ptaka i przywiązanie go do człowieka, co można wymódz na nim, wystawiając go na długi głód i bezsenność, i nosząc go ciągle przy sobie, nietylko dniem, ale i nocą; czas, przez który nosić go należy, bywa rozmaity, według skłonności wrodzonych ptaka; nigdy jednak kilku dni nie przechodzi.

Uwabienie ma za cel przyzwyczajenie ptaka, ażeby, gdy odleci, dał się przywabić głosem do ręki.

Wkarmienie ma za cel już to obznajomienie i oswojenie ptaka z widokiem przyborów, z którymi ciągle ma mieć do czynienia, już to zaprawienie go do zwierzyny, którą ma łowić. Osiąga się taki cel dawaniem ptakowi pokarmu jedynie wtenczas, gdy usiądzie na przyborach myśliwskich, jako to: na sieci, na berle, między psami i t. p. Chcąc zaprawić go do łowów, najlepiej byłoby rzucać mu do złowienia i zabicia zwierza tego gatunku, na jakiego pomoc z niego mieć chcemy. Lecz że nie zawsze zwierzę żywe mieć można, przeto podaje się ptakowi albo nieżywe, t. j. zaprawia się go na trupie, albo udane, t. j. wypchane lub złożone tylko ze skrzydeł i t. p., przez co zaprawia się go do łupiestwa, W tych ostatnich przypadkach przywiązuje się udanemu zwierzęciu np. do głowy kawałek mięsa, żeby zdobycz tem ponętniejszą mu uczynić. Zwierzę, na którem się ptaka zaprawia, czy jest rzeczywistem, bądź udanem tylko, w „Myśliwstwie ptaszem“ nazywa się wabiem.

Krogulce i drzemliki, jako pospolitsze, najwięcej używane bywały przez niższą szlachtę w łowach na przepiórki, skowronki, kuropatwy i żurawie. Nie ganiono, mówi Górnicki w „Dworzaninie“, gdy szlachcic w rannym ubiorze cały dzień chodził, nosząc krogulca na ręku. Przy wyborze młodych pilnie uważano i dochodzono, który z nich prędzej opuścił gniazdo, czy do niego wracał lub nie. Z tych wrodzonych skłonności oddzielne im w myśliwstwie nadawano nazwiska. Te, które opuściwszy gniazda, przelatywały z gałęzi na gałąź, słuchając tylko głosu matki, nazywano gałęźnikami; byłyby one dobre do łowów, ale układanie ich większej wymagało pracy i cierpliwości z powodu wrodzonej dzikości; młode zaś, które najdłużej gniazda pilnowało, nazwali myśliwi gniazdowcem; takie więcej było cenione, bo z natury łaskawe, mniej wymagało pracy w układaniu. Nie małe ponosić trzeba było koszty, nim się ptak wychował, wyuczył i do łowów stał się zdatnym; im większej więc przez to nabrał wartości, z tem większą chowano go starannością.

Autor „Myśliwstwa ptaszego“ następujące podaje przestrogi względem przechowania ptaków przez zimę.

„Wcześnie w jesieni przenieść trzeba sokoły do zimowego schronienia, które powinno być ciepłe i czyste. Gdyby oddzielnej nie było komory, sokoły przechowane być muszą w wielkiej skrzyni, tak urządzonej, żeby się do niej pył podczas zamiatania izby nie dostawał. Karmić je trzeba na czystej desce, a kiedy niekiedy z ręki.

Skwarnę, czyli lekarstwo na womity, dać im trzeba przy końcu marca.

Dziwoka (dzikiego nieuczonego) przywiązać trzeba do pieńka na czystej podłodze, czasami go nosić przez całą zimę, żeby sokolnika — pana swego poznał, i z jego ręki jadał; za nadejściem wiosny można takiego sokoła użyć do polowania. (C. d. n.)

Korespondencje.

Lwów, w kwietniu.

W numerze 7-dmym „Łowca“ z dnia 1. kwietnia 1910 przeczytałem artykuł p. Leona Starkiewicza pt. „Dzięcioł jako muzyk“, i chcę do niego parę uwag dorzucić.

Przedewszystkiem u kszyka nie można mówić o sterówkach, jako o osobnym narządzie, bo takie sterówki mają wszystkie bekasowate, a to bębnienie kszyka jest tylko dalszem wykształceniem lotu weselnego, np. słonki. Wprawdzie jest to rzeczą „smaku“, ale nasze określenie „bębnienie“ wydaje mi się mocno niestosowne. Lepsze już jest niemieckie „Meckern“ (beczenie), ale i ono nie jest określeniem fonetycznem. O ile słyszałem kszyka w czasie takiego lotu weselnego, to głos przez niego wydawany wydawał mi się jako „bzzzz“, przyczem ton, z początku nizki, przy około 2 sekundy trwającym dźwięku, stawał się trochę wyższym. Najprędzej mogłaby być tu mowa o „brzęczeniu“ kszyka, ale ponieważ nazwa „bębnienie“ jest już utarta, więc trudnoby i niepotrzebnie wprowadzać nieznaną i nową.

Dalej mówi p. L. S. o „muzyce“ dzięcioła — jako przez niego wynalezionej. Słusznie, ale uważam, że tak samo można powiedzieć o świerszczu, a tembardziej o kszyku.

Co do samej muzyki dzięcioła, którą Niemcy nazywają „Trommeln“ lub „Schnurren“, dorzucę parę szczegółów na podstawie pracy Dr. W. Häckera p. t. „Der Gesang der Vögel“ (Jena 1900), którą przypomniał mi artykuł wspomniany. (Z rozprawki tej podam wkrótce referat w „Łowcu“).

Z całą przyjemnością przeczytałem artykuł p. L. S. z tego powodu, że cała obserwacja tego oryginalnego „śpiewu“ weselnego dzięcioła jest zupełnie trafna, bystra i pracowita, a z całego artykułu wieje gorące umiłowanie

przyrody, ale muszę Szan. autorowi podać do wiadomości, że niestety, czego sam bardzo żałuję, spostrzeżenia jego nie są nowe. Opisywali je obszernie zwłaszcza Naumann (Naturgeschichte der Vögel Mitteleuropas. Neu bearbeitet von C. R. Hennicke, Gera-Unterenhaus), i wielu innych.

„Bębnienie“ pojedynczych gatunków dzięciołów posiada brzmienie dla każdego gatunku charakterystyczne, gdyż pojedyncze gatunki wybierają gałęzie o grubości, odpowiedniej do swej siły, tak, że znawca po „bębnieniu“ bardzo dobrze rozróżnić je może. Podstawą rozwoju tego instynktu jest bezsprzecznie u dzięcioła kucie dziobem, którem się posługuje przy szukaniu pożywienia i budowie gniazda. W podobny sposób kuje też bargiel — kowalik *(Sitta europea)*.

Natomiast dzięcioły: zielonosiwy i zielony *(Gecinus canus* i *viridis)*, które się żywią przeważnie mrówkami, a nie owadami, żyjącemi pod korą drzew, i których dziób nie jest przystosowany do kucia tak, jak u innych, według zdania jednych wcale wiosną nie bębnią, według drugich bębnią, lecz krótko i bardzo cicho. Natomiast wydają oba wymienione gatunki w tym czasie parowania donośne dźwięki, które co do siły i brzmienia porównać można tylko z temi, które wydaje dzięcioł czarny *(Picus martius)*.

To bębnienie, oprócz tego, że jest dźwiękiem parowania, ma jeszcze znaczenie wtórne, mianowicie zwiększa podniecenie. Tak opisuje Naumann, że dzięcioł czarny w tym czasie ściga nieraz długo samicę po lesie, prawie bez przestanku wydając donośne dźwięki, a tą gonitwę kończy zwykle bębnieniem tak, że ono następuje zapewne tuż przed, lub po zapłodnieniu.

Zauważano też, że dzięcioły jeszcze wtedy nawet bębnią, kiedy wysiadują jaja.

Dzięcioły bębnią najchętniej na uschłych wierzchołkach wysokich dębów, gdyż stamtąd najdalej się głos rozchodzi, ale bębnią także i na innych drzewach.

Edward Schechtel.

Z Podgórza Samborskiego.

Czytaliśmy w dziennikach o obfitych śniegach we Francji i Niemczech, a nawet z naszego Podola dochodziły nas wieści o zamieciach śnieżnych, które minionej zimy wstrzymały na pewien czas ruch kolejowy. My tu w Samborskiem, dzięki częstym i długo trwającym wiatrom południowo-zachodnim, z powodu ich siły nader nieprzyjemnym, lecz niedopuszczającym do większych opadów atmosferycznych i do znacznego obniżenia temperatury, przebyliśmy zimę nadzwyczaj lekką; śnieg okrył wprawdzie kilkakrotnie ziemię, lecz pod wpływem tych wiatrów i słońca ginął po kilku dniach, tak, że jadących saniami prawie nie widzieliśmy. Ziemia przez całą zimę pozostała niezamarzniętą w miejscach osłoniętych — w innych, otwartych miejscach, zamarzała zaledwie na kilka centymetrów, w przeciwieństwie do poprzedniej zimy, w której ziemia zamarznięta była do metrowej głębokości.

Po lekkiej zimie nastąpiła wczesna wiosna. Z ptaków przelotnych zauważyłem już 14. lutego makolągwy, tegoż dnia słyszałem śpiewającego kosa. Parka kosów zresztą zimowała tutaj, bo widziałem je w grudniu i styczniu w gąszczu jodłowym, w miejscu, osłoniętem od wiatrów. 21. lutego zauważyłem pierwszy ciąg skowronków polnych, 26. lutego słyszałem śpiewającego skowronka leśnego, przypominającego swym śpiewem śpiew kanarka, tegoż dnia zauważyłem kilka zięb w lesie. W pierwszych dniach marca przybyła już większa ilość kosów i drozdów, a nawet czerwonogardziołki. 15. marca zobaczyłem przy siewie owsa pierwszą pliszkę, zwiastunkę bliskiego nadciągnięcia słonek.

Ogólnie skowronek polny jest uważanym za pierwszego zwiastuna wiosny. Dla ogółu może takie mniemanie wystarczać, nam myśliwym, miłośnikom przyrody, to nie wystarcza. Makolągwy, te małe, szare ptaszki z rdzawoczerwonem podgardlem, nie zwracają uwagi ogółu, przylatują jednak o 6—8 dni pierwej od skowronków polnych. Miałem sposobność w różnych okolicach kraju ich ciąg już w pierwszej połowie lutego obserwować — w dawniejszych latach nawet podczas zamieci śnieżnych, zawsze na 6—8 dni przed pierwszym ciągiem skowronków, dlatego uważam makolągwy za pierwsze zwiastunki wiosny.

Zwierzyna tutaj przebyła zimę w najlepszej kondycji. Sarny odgrzebywały z łatwością bujne oziminy na polach, a także ostrężyny i barwinek, który to ostatni na większym obszarze w tutejszym lesie w dzikim stanie się znajduje, i który tak samo, jak ostrężyna i przez zimę nie więdnie. Z karmy podawanej korzystały sarny tej zimy tylko w małym stopniu, gdyż ziemia w gęstszych zapustach szpilkowych nie była wcale pokryta śniegiem, więc tu za ostrężynami nawet grzebać nie potrzebowały.

Że i zające przebyły zimę dobrze i wskutek tego parkotnię już w początkach stycznia rozpoczęły, niech potwierdzi następujące zdarzenie. Nasz poczciwy sąsiad p. Ł. zobaczył w połowie marca mnóstwo wron na łanie, na którym jego ludzie i konie zajęte były sianem i włóczeniem owsa. Wziął więc strzelbę i naboje z domu na łan, aby wrony przepłoszyć, gdyż nasz dobry sąsiad jest wzorowym gospodarzem i nie znosi plisz, któreby wskutek nadmiernej liczby gawronów i kawek na zasianych, a nie zawłóczonych jeszcze zagonach powstać mogły. Tu nadmienić winienem, iż p Ł. nie jest myśliwym, i chociaż nosi czasem strzelbę, chodząc dla kontroli po lesie, a nawet brał udział w gremjalnych polowaniach, to czynił to więcej dla własnego bezpieczeństwa lub dla towarzystwa, a chociaż strzelał już nieraz — jak sam mówi do zajęcy, to śróty jakoś stale je omijały. W tym roku miało być inaczej, nastąpił przełom. Pan Ł. zbliżył się na stosowną odległość do czarnego ptactwa, wycelował i dał ognia. Ptactwo odleciało, lecz gumienny pana Ł., zajęty siewem, sam myśliwy, badał dokładniej skutki strzału. Zobaczył on coś szarego, rzucającego się i tańczącego na nieobsianym jeszcze zagonie. Podszedł bliżej, chwycił martwego już zajączka — wielkości królika, za tylne skoki i mówi: Jest, proszę wielmożnego pana — zając, dobrze trafiony w sam łeb, bo tańcował.

Poczciwemu sąsiadowi powinszowaliśmy takiego strzału z dodatkiem, iż nim już zasłużył sobie na pasowanie na myśliwego.

Zabity zajączek mógł już liczyć 6—7 tygodni, pochodził zatem zapewne z rzutu styczniowego, co dowodzi, jak wcześnie w tym roku parkotnię zające rozpoczęły.

26-go lutego ubiłem pięknego rogacza z zupełnie już wyrośniętymi, dużymi, choć jeszcze nieoczyszczonymi rożkami. Rogacz był w doskonałej kondycji, dobrze łojny, ważył wypatroszony 26 kg., co świadczy, jak dobrze sarny tę zimę przebyły.

W tutejszym, 500 morgowym lesie, w ubiegłym sezonie ubito: 5 rogaczy, 14 zajęcy, 2 dziki, 3 lisy, 1 tchórza, 4 słonki, 11 jarząbków, 16 dzikich gołębi, 6 różnych jastrzębi, 4 psy, 5 kotów, 26 wron i 6 srok. Prócz tego

znaleziono 2 sarny, postrzałki z sąsiednich rewirów lub przez kłusowników na mej granicy śrótem postrzelone.

Jak łatwo można, przy dobrych chęciach i staraniach podnieść stan sarn i zajęcy — pomimo kłusowników i mimo, iż w sąsiednim lesie służba leśna (leśni) prawie codziennie od jesieni do końca lutego poluje i ze śrutówek obrzuca śrótem rudle sarn, niech posłuży tutejszy las.

Przed laty 12, objąwszy majątek we własną administrację, zastałem tutaj tylko 7—10 sztuk sarn, mało zajęcy, lecz dużo lisów.

Dzisiaj, mimo, iż ubija się już od lat 6 po 5 rogaczów rocznie (tylko przez właściciela i gości), jest tu tak piękny stan sarn, iż np. polując w wigilję Bożego Narodzenia z synem i jednym gościem, ubiliśmy w trójkę z pomocą tylko leśnego i pomocnika, jako naganiaczy, 2 rogacze, 2 zające i 1 lisa, a w każdym z 9 miotów, które wzięliśmy, widzieliśmy sarny, nawet po kilka rudli.

Las tutejszy, w połowie liściasty, w połowie szpilkowy, położony przeważnie na pochyłościach z licznymi, głębokimi potokami i jarami, nie nadaej się do polowań gremjalnych z nagonką, już z tego powodu, iż trudno tu urządzić linje proste dla strzelców.

Dlatego poluję tutaj na rogacze tylko na podchodnem w lecie, a w jesieni i w zimie przy pomocy leśnego, który przy takiem polowaniu na rogacze, dziki i lisy, obejmuje funkcję rosyjskiego pskowianina.

Niemcy, prócz polowań na podchodnem (Pürsche) i zasiadek (Ansitz, Anstand), rozróżniają trojakie polowania z nagonką w lesie:

1) „Riegeln", ruszyć, przyczem używają 1 lub 2 ludzi;

2) „Drücken", cisnąć, wyprzeć, przyczem mała ilość ludzi wypiera zwierzynę w prostym kierunku na strzelców i

3) „Treiben", pędzić, napędzać, jest to rodzaj naszego polowania z nagonką, przyczem obstawia się ewentualnie i flanki ludźmi.

Ja uważam pierwszy sposób polowania dla tutejszych warunków miejscowych za najodpowiedniejszy i uprawiam go z dobrym skutkiem już od lat 10.

Rodzaj ten polowania ma swe dobre strony, bo leśny nie idzie wprost w kierunku strzelców, lecz zygzakowato, pochrząkując i pokaszlując. Zwierzyna zruszona, idzie powoli — staje nadsłuchując, a przyzwyczajona do ludzi, zbierających suchary, jagody lub grzyby — rusza powoli ku przesmykowi, przy którym powinien znajdować się myśliwy, co ułatwia nawet mniej wprawnemu strzelcowi rozpoznać zwierzynę, przygotować się i umieścić dobry, pewny strzał, przez co unika się najpewniej okaleczeń zwierzyny czyli postrzałków. Jest to zarazem i bardzo tani sposób polowania. Wymaga on jednak od naganiacza jak od pskowianina pewnej inteligencji, sprytu, a szczególniej dokładnej znajomości lasu, miotu, miejsc, gdzie zwierzyna zalega, jakoteż t. zw. „wagi" zwierzyny i przesmyków.

Jak sobie zwierzyna często przy tego rodzaju polowania nic z naganiacza nie robi, przytoczę np. następujące zdarzenie: Chcąc memu 16-to letniemu synowi zrobić podczas ferji świątecznych przyjemność, wziąłem go z sobą na polowanie na stropione dziki. Chłopiec strzelał już dobrze, lecz w strzelaniu w biegu nie miał jeszcze wprawy. Dziki pędzone ostrożnie, wyszły na małą polankę, a jeden wycinek począł ryć. Z tej chwili skorzystał niedaleko stojący chłopiec i dobrym strzałem powalił go.

Zapomniałem o ciągu słonek. Najlepszy ciąg słonek był wczoraj, tj. 5. kwietnia; widzieliśmy i słyszeli 16 słonek, zabiliśmy (w 2 strzelby) 2.

Ciąg, wstrzymany przez obniżenie się temperatury i niewielki śnieg w wielkim tygodniu i podczas świąt, rozpoczął się tutaj właściwie już dnia 20. marca. W tym dniu wyszliśmy z synem i gościem na próbę w las, na oddalony zaledwie o kilkaset kroków od domu pagórek. Tu, wśród śpiewu ptaków i dochodzącego z lekkim wiatrem od otwartych okien domu — gramofonowego, donośnego śpiewu Korolewicz-Waydowej i Carusa, usłyszeliśmy miły nam świst pierwszej ciągnącej słonki.

Monasterzec, 6. kwietnia 1910. *S. F.*

Żywiec — zamek, 7 kwietnia 1910.

Przystępuję do podania cyfr z polowań w tutejszym powiecie. Rezultaty polowań tutejszych nieszczególne, zwłaszcza porównując ilość padłej zwierzyny na polowaniach poprzednich. Nie ma się też i czemu dziwić — srogie poprzednie zimy i jeszcze gorsze kłusownictwo zwierzynę zdziesiątkowały. Wiadomo powszechnie, iż w takich Pietrzykowicach, wiosce odległej od Żywca o parę kilometrów, każdy chłop prawie ma strzelbę, — gorszem jeszcze od tego, to druty: gdzie tylko krzak, gdzie dogodne przejście dla zwierzyny, tam dobrze szukając, znajdziesz misternie i zręcznie zastawione sidła. Jaką jest bezczelność tutejszych kłusowników, dowodem fakt — iż ze Świnnej (Świnna) zastrzelonego kozła przywiózł chłop w biały dzień i na rynku żywieckim sprzedawał — nieszczęście jednak chciało, iż kupującym okazał się sam właściciel polowania. I do dziś dnia nie wiemy, czy kłusownik ten został ukarany. Dodajmy do tych dwu klęsk wielką ilość lisów, goniących psów i złośliwe bandy chłopaków wiejskich, a przestaniemy się dziwić, iż w powiecie żywieckim, mającym wprost idealne stosunki i położenie dla zwierzyny, na polowaniach bywa, więcej myśliwych, aniżeli zwierzyny ubitej.

Dnia 23 grudnia 1909 polowano na polach Radziechowa i Wieprza w 15 strzelb — wzięto 5 miotów w kociołki — na rozkładzie było 68 zajęcy (poprzedni rok 107), — 28 grudnia na polach Lipowej, wśród deszczu i błota, w 15 strzelb — 23 zajęcy (poprzedni rok 43), 21 grudnia polowano na Grapie — w 9 strzelb 12 zajęcy i 3 bażanty. Te trzy polowania urządził zarząd dóbr J. C. W. Arcyks. Karola Stefana — pierwsze dwa znakomicie prowadził zarządca leśny p. Hirt — ostatnie inspektor p. Kebler. Następnie polowania urządzał p. Gebauer na dzierżawionych przez siebie gruntach od okolicznych gmin. I tak 3 stycznia 1910 w Trzebini w 17 strzelb — na rozkładzie 27 zajęcy i 3 lisy — 7 stycznia w Zadzielu — lis, 3 zające, i 1 bażant, 15 stycznia we Wieprzu w 18 strzelb — 23 zajęcy, — 22 stycznia w Zadzielu w 6 strzelb 2 lisy i zając — to ostatnie specyalnie na lisy robione. Prócz tego dozorcy polowań p. Gebauera ubili trzy lisy — tak, iż razem padło 9 lisów na obszarach, dzierżawionych przez niego. Nadto padło około 40 zajęcy na polach Zabłocia, Siennej i Świnnej — nie były to jednak polowania gremialne, lecz zwykle w pojedynkę lub dwójkę.

Wobec tego, iż wkrótce wchodzi w życie nowa ustawa łowiecka — przy tutejszych stosunkach wprost zabójcza dla stanu zwierzyny, wartoby się zastanowić nad związaniem się tutejszych myśliwych — amatorów w Towarzystwo. Inicjatywę do tego dotychczas w agitacji słownej dał już p. Gebauer; o ile też wiem, wszystkie swe polowania (a w okolicy Żywca ma on je prawie wszystkie) chce towarzystwu takiemu odstąpić. Sprawa na czasie — myśli więc p. Gebauera tylko przyklasnąć należy i życzyć mu „Szczęść Boże"! *Rudolf Wacek.*

W Zaleszczykach wielkich, 5 kwietnia 1910.

Wykaz ubitych w r. 1909 drapieżców i szkodników w rewirach klucza zaleszczyckiego: lisów 24, borsuków 3, kun 3, tchórzów 2, łasic 17, psów 127, kotów 33, wiewiórek 8, orłów 11 — w tem 2 orły bieliki, 3 przednie, 186 wielkich, 44 mniejszych jastrzębi — w tem 1 kokosznik, puhacz 1, kruków 3, wron 82, srok 8, orzechówek 112; razem 664 szkodników wszelkiego rodzaju. *August Turnau.*

KRONIKA.

Państwowy związek myśliwski, na posiedzeniu z dnia 3. kwietnia, na którem zastępował gal. Towarzystwo łowieckie J. E. Witold Korytowski, postanowił zwołać ogólny Zjazd łowiecki na dzień 12. czerwca 1910 w Wiedniu.

Następnie uchwalono wybrać komitet, któryby wyznaczył referentów rozmaitych spraw łowieckich na tym zjeździe. Postanowiono kooptować doń i jednego delegata z Galicji. Na wniosek J. E. Korytowskiego pozostawiono wybór tej osobistości gal. Towarzystwu łowieckiemu.



Sprawy Towarzystwa.

Dzięki łaskawym Sympatykom naszym, mianowicie Panom: J. Daukszy, Władysławowi Mniszkowi, Gürtlerowi, St. Pieńczykowskiemu, Rampeltowi, A. Mniszkowi i Szałajdewiczowi, wpisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego pp.:

Aigner Edler von Auenhof Max
Bukowski Dr. Marjan
Jasiewicz Józef
Koloszek Roman
Mioduszewski Franciszek
Popiel Eugeniusz
Rey hr. Józefa
Uznański Józef
Wajda Wojciech.

Poza tem Szanowny i niestrudzony delegat naszego Towarzystwa, Dr. Karol Mátyás, zjednał nam znowu znaczny zastęp członków, bo aż **dwudziestu ośmiu** jak niżej:

Biernat Antoni
Biernat Jan
Brochocki Edward
Bronarski Dr. Tadeusz
Dzięciołowski Wiktor
Flaczkiewicz Jan
Gabryel Henryk
Górski Dr. Antoni
Górski Karol
Groyecki Mieczysław
Kępiński Ludwik
Kopetschny Emil
Kostecki Antoni
Leurman Franciszek
Łysek Jan
Muszyński Zygmunt
Opid Adam
Popiel Antoni
Ruebenbauer Zygmunt
Stępniowski Edward
Szaffer Bolesław
Tomasik Jan
Warzewski Adam ks. prob.
Wernikowski Bronisław
Węglarski Tadeusz
Wimmer Władysław
Włodek Jan (młodszy)
Wyrobisz Józef.

Oto i dowód, niczem niezbity, a naśladowania godny, co może jeden gorliwy członek zdziałać dla dobra Towarzystwa. Wydziałowi naprawdę słów już brakuje na wyrażenie ponownego uznania wielce Szanownemu Delegatowi za Jego znakomite dla Towarzystwa zasługi.

Ponieważ Zjazdowi łowieckiemu, zwołanemu na dzień 28. maja br., Wydział Towarzystwa musi w przedłożeniu swojem zdać sprawę także i o **stanie funduszów Towarzystwa, wobec tego zwraca się niniejszem do P. T. członków, którzy z uiszczeniem wkładek zalegają, z usilną prośbą, aby raczyli obowiązek swój spełnić nieodzownie i jak najrychlej, a to celem uniknięcia potrzeby drukowania w sprawozdaniu imiennego wykazu dłużników Towarzystwa.** *Wydział Towarzystwa.*

Obwieszczenie.

Zwracamy uwagę Władz, do czuwania nad ustawowem wykonywaniem łowiectwa powołanych, jak również i uwagę myśliwych naszych, że według brzmienia § 55 nowej, już obowiązującej ustawy łowieckiej, **wolno polować na rogacze dopiero z dniem 1. czerwca.**

OD REDAKCJI.

Wobec otwarcia wystawy łowieckiej w Wiedniu w dniu 7. maja i połączonej z tem bytności tam Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego i redaktora „Łowca“, jako członka komitetu wystawowego, przyszły, tj. X. numer „Łowca“, wyjdzie dopiero między 16 a 20. maja.

Zjazd doroczny członków naszych i połączone z nim premiowe strzelanie odbędzie się 28. maja br.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. Dryszkiewicz, Izdebnik. Gal. Towarzystwo łowieckie nie organizuje gremjalnej wycieczki na wystawę łowiecką w Wiedniu; gdyby większa liczba uczestników taką wycieczkę przedsiębrała, należy się zgłosić przynajmniej 14 dni naprzód do krajowego komitetu wystawowego (Lwów, Piekarska 16), celem umożliwienia taniego mieszkania dla uczestników. Zniżka kolejowa dla jadącego do Wiednia na wystawę wynosi 10% od ceny biletu tam i z powrotem.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Szczenięta pointery angielskie po znakomitych rodzicach do sprzedania. Wiadomość: **Józef Dobrzyński Kraków**, Sławkowska 12.

Śliczny puchacz do zbycia A. Střihafka Chmielowa, poczta Czernelica.

Legawca młodego bez tresury kupię lub za bezpłatne odstąpienie, ułożę znakomicie drugiego pod gwarancją. Zgłoszenia: **Leśniczy, p. Czchów.**

Zarząd dóbr Osiek, p. Oświęcim 2) ma do zbycia w czasie od 1. do 25. maja br. codziennie świeże zbierane jaja bażancie, które wysyła w angielskich podwójnych skrzynkach sprężynowych po następujących cenach:

przy odbiorze	50 sztuk po	 90	hal. za sztukę
„ „	100 „	„ 85	„ „ „
„ „	500 „	„ 80	„ „ „
„ „	1000 „	„ 70	„ „ „

Okazyjnie do nabycia mało używana, pierwszej jakości, znakomicie ostrzelana dubeltówka angielska, systemu **Lancastra** (kurkowa), cal. 12˙ firmy **„Geo. H. Daw. 57. Threadneedie Street London“**- Lufy „Crolé“ (cylindryczne). Zamknięcie: „Patent Selp. Lo. king. Vertical Grip“.
Oglądać można w Redakcji „Łowca“, ul. Jagiellońska 3, od godz. 11—1, **a próbować tylko we Lwowie.**

Pincza białego pokojowego, odmiany karłowatej, kupię zaraz. — Oferentów proszę o dokładny opis wyglądu miary, rodzaju, pochodzenia pincza oraz oznaczenia ostatniej ceny. **Feliks Kleinman,** kandydat adwokacki, Żmigród.

200 do 300 K. otrzyma ten, kto ułatwi mi polowanie do odstrzelenia ładnego jelenia na rykowisku lub na podchodnego. Zgłoszenia: **Zarząd lasów Kąty, p. Chrzanów.**

TEATR
FATA MORGANA
Hotel Belle-Vue ul. Karola Ludwika 27 i ul. Rejtana 6.

W wspaniale odnowionej sali wyposażonej w wszelkie możliwe udogodnienia rzęsiście oświetlonej, odbywają się codziennie od godz. 4. do 10. wieczór przedstawienia obrazowe z dziedziny sztuki, nauki, przemysłu, zdjęć prześlicznych z natury; rzeczy nie tylko rozweselające, ale nadzwyczaj pouczające. — Staraniem dyrekcyi przedsiębiorstwa jest i będzie w przyszłości danie P. T. Publiczności możność zabawienia się po cenie nader niskiej.

Kasa otwarta codziennie od godz. 3·30 zaś przedstawienie rozpoczyna się punktualnie o godz. 4. i trwa pięć do sześciu kwadransy.

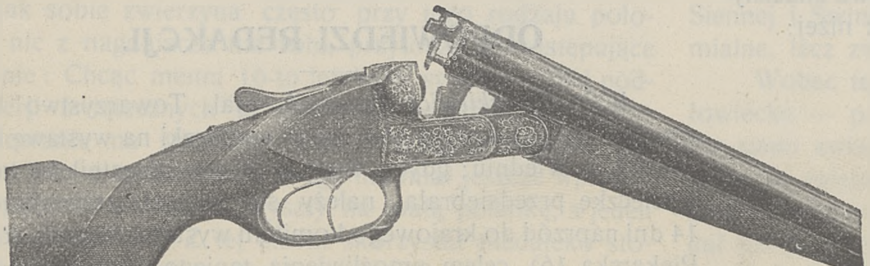
Dyrekcya.

Wszelkie kupony
i wylosowane papiery wartościowe
wypłaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów
Kantor wymiany
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę
polecamy
4% Listy hipoteczne
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemkiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.
Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

KANTOR WYMIANY
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego
BANKU HIPOTECZNEGO.



Karol Birtus
Magazyn broni i towarów galanteryjnych
Tarnów, ul. Krakowska l. 1
poleca
Broń myśliwską najlepszej jakości, oraz wszelkie przybory dla P. T. Myśliwych.
Wyroby nożownicze oryg. angielskie w wielkim wyborze, jako to: brzytwy, scyzoryki, nożyczki, maszynki do golenia i strzyżenia włosów.
Przybory do podróży, kuferki, walizki i torebki.
Cenniki darmo i opłatnie

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**